



Wąwóz dzina

Kiedy Lung wylądował, Ben obudził się i ze strachem rozejrzał wokół. Świtało i mleczna mgła otulała góry. Droga urywała się za ostrym zakrętem, gdzie skalne ściany rozpadliny opadały stromo w głąb ziemi, jak gdyby świat pękł na pół. Żaden most nie prowadził na drugą stronę.

To musi być tu, pomyślał. Wąwóz niebieskiego dzina.

Lung stanął na krawędzi i spojrzął w głąb. Z dołu dochodził cichy szum.

Ben obejrzał się. Siarczynka cały czas spokojnie spała. Ostrożnie wziął na ręce śpiącego Muchonogiego i zszedł z grzbietu Lunga.

— Odespałeś już elfią imprezę? — zapytał smok i żartobliwie trącił chłopca pyskiem. — Spójrz, myślę, że znaleźliśmy miejsce, gdzie mieszka dzin.

Ben spojrzął ostrożnie do wąwozu.

Nie był zbyt szeroki, zaledwie dwa razy szerszy niż droga, wzdłuż której lecieli. Opadające w dół skalne ściany z początku nagie, już po kilku metrach pokryte były gęstą roślinnością. Kwitnące zarośla porastały kamienie, a z dna

ku światłu pięły się ogromne palmy. Na dole panował mrok. Ben wyraźnie słyszał szum wydobywający się z rozpadliny. To musi być rzeka, o której wspominał profesor. Ale słyszał też inne dźwięki: głosy zwierząt i ochryple krzyki nieznanых ptaków.

— No nie, dlaczego mnie nie obudziliście? — Z grzbietu Lunga rozległ się pełen wyrzutu głos Siarczynki. Muchonogi, który cały czas spał na ramieniu Bena, wyprostował się i ze zdziwieniem rozejrzał wokół.

— Możesz nie schodzić — odpowiedział jej Lung, nie odrywając wzroku od dna przepaści. — Zaraz lecimy na dół, ale ostrzegam, że nie będzie łatwo wylądować w tej gęstwinie.

Smok niczym cień poszybował w dół. Kiedy przelatywał pomiędzy koronami palm, Ben czuł na twarzy ich liście. Lung uderzył kilka razy mocno skrzydłami i wylądował miękko na brzegu leniwie płynącej rzeki, na której powierzchni padały jasne promienie słońca. Chłopiec spojrział w górę. Niebo zdawało się nieskończenie dalekie. Dookoła, pośród tysięcy liści wszystko ćwierkało, cykało i bzyczało, powietrze było duszne i wilgotne, a nad wodą unosiły się chmary komarów.

— A to pieniążek maślany! — Siarczynka zeskoczyła z grzbietu Lunga i po pierś zapadła się w gęstych pnączach. — Jakim cudem mamy w tej puszczy cokolwiek znaleźć? — Niepewnie rozejrzała się wokół.

— Musimy po prostu zacząć szukać — odpowiedział Lung i ruszył naprzód, torując sobie drogę przez gęstwinę.

— Hola, hola, nie tak szybko! — Koboldka uczepliła się jego ogona. — Ty nie zapadasz się po szyję w tych

paskudnych liściach. Chociaż — skosztowała jeden z nich — smakują wspaniale. Absolutnie wspaniale.

— Chcesz usiąść na moim grzbiecie? — zapytał Lung i spojrzał na nią.

— Nie, nie — przecząco pokręciła głową. — Już dobrze. Sama będę się przedzierała. Dam radę. — Zrywała liść za liściem i upychała je w swoim plecaku.

Ben posadził homunkulusa na ramieniu i uśmiechnął się.

— Siarczynko — powiedział Lung, niecierpliwie potrząsając ogonem. — Chodź już. Będziesz miała czas na uzupełnienie prowiantu, kiedy znajdziemy dzina.

Ruszył naprzód. Ben podążył za nim i już po chwili zniknęli pomiędzy drzewami.

— Co za podłość! — fuknęła Siarczynka, człapiąc za nimi. — Jakby ten dzin nie mógł poczekać pięciu minut. Wyobraź sobie, że ja nie żywię się tylko światłem księżycy. Chcesz może, żebym z głodu spadła ci z pleców?

Lung posuwał się wzdłuż rzeki, a w miarę jak szli, ściany wąwozu zbliżały się do siebie. W końcu drogę zagrodziła im przewrócona palma, której korzenie sterczały w powietrze, a długi pień opierał się na kilku skałach tkwiących w rzece, tworząc coś na kształt mostu.

— Poczekaj! — Ben posadził Muchonogiego na ogonie smoka, wspiał się na pień przewróconej palmy i przeszedł po nim kilka kroków. — Spójrz tam! — krzyknął, wskazując na drugi brzeg. — Tam, między czerwonymi kwiatami.

Lung wszedł do wody i wyciągnął szyję.

Tak, stał tam. Duży, szary samochód, opleciony powojami, pokryty opadłymi płatkami kwiatów, na którego masce wygrzewały się w słońcu jaszczurki.

Ben ostrożnie przeszedł po pniu i zeskoczył na drugi brzeg. Smok z Siarczynką i Muchonogim na grzbiecie ru-

szył przez płytką wodę i zatrzymał się wyczekująco na płaskim brzegu. Chłopiec odsunął pnącza i zajrzał ostrożnie do środka auta. Siedząca na fotelu kierowcy wielka jaszczurka zasyczała, kiedy wsunął głowę przez boczne okno. Przestraszony cofnął się, a jaszczurka jednym skokiem zniknęła między siedzeniami.

— W ogóle nie ma szyb — powiedział cicho chłopiec. — Właśnie tak, jak mówił profesor.

Jeszcze raz wsunął głowę przez boczne drzwi. Nie było śladu po jaszczurce, jednak na tylnym siedzeniu leżały zwinęte dwa węże. Ben zacisnął usta, sięgnął ręką do środka, nacisnął na klakson — i szybko odskoczył w tył.

Zerwały się chmary rozwrzeszczanych ptaków. Jaszczurki uciekły z rozgrzanej karoserii i zniknęły pod bujną roślinnością. Po chwili wszystko ucichło. Ben cofał się ostrożnie. Zgodnie z instrukcją profesora powinien czekać dokładnie siedemnaście kroków od auta. Liczył: jeden... dwa... trzy... cztery... siedemnaście kroków to całkiem sporo. Na wszelki wypadek nie stawiał zbyt dużych. Po zrobieniu ostatniego usiadł na kamieniu i czekał. Lung położył się za nim pośród liści i kwiatów, a Siarczynka i Muchonogi przycupnęli na jego grzebieniu. Wszyscy spoglądali na samochód jak zahipnotyzowani.

Asif nie kazał na siebie długo czekać.

Z okien zaczął wydobywać się niebieskawy dym, który wznosił się coraz wyżej, aż Ben musiał całkiem odchylić głowę, by dojrzeć, jak wysoko dotarł. Pomiędzy koronami palm pojedyncze obłoki zaczęły łączyć się ze sobą, wirować wokół, aż uformowały granatową jak nocne niebo postać, która była tak wielka, że jej cień przykrył cały wawóz. Na skórze, ramionach, rękach i tłustym brzuchu błyszcząło niczym szlachetne kamienie tysiąc oczu.

Lunga. Para ogromnych oczu, zielonych jak u kota, spoglądała lekceważąco na Bena, który widział w nich swoje malutkie i zagubione odbicie. W pozostałych oczach Asifa śnieg padał na obce miasta, a po morzach płynęły statki.

Chłopiec otarł pot z nosa i zapytał, wyraźnie wymawiając słowa:

— Gdzie znajdziemy dolinę smoków zwaną Skrajem Nieba?

Siarczynka zacisnęła powieki, Lung wstrzymał oddech, a Muchonogi zaczął drżeć na całym ciele. Ben z dziko walącym sercem czekał na odpowiedź dżina.

— Skraaaaaj Nieceeba! — powtórzył Asif.

Uniół się parę metrów wyżej. Po chwili roześmiał się tak głośno, że ze skalnych ścian zaczęły toczyć się kamienie. Jego gruby brzuch podskakiwał nad głową chłopca, jakby za chwilę miał runąć i go przygnieść.

— Oj, człowieczku, człowieczku — zagrzmiał dżin i znów pochylił się nad chłopcem.

Lung osłonił sobą Bena, ale Asif swą gigantyczną dłonią odsunął go delikatnie na bok.

— Skraaj Nieba! — powtórzył. — Nie dla siebie pytasz, praaaawda?

Ben potrząsnął głową.

— Nie — potwierdził. — Moi przyjaciele muszą znać odpowiedź. Czy jest w tym coś dziwnego?

— Dziwnego? — Dżin dźgnął go potężnym palcem w pierś, ale w miejscu, gdzie go dotknął, Ben poczuł jedynie powiew gorąca. — Dziwneeego? — zagrzmiał Asif tak głośno, że Muchonogi zatkał uszy. — Jesteś pieeerwszy! Pieeerwszy, który pyta nie dla sieeebie, ludzki robaczku. Pieeerwszy po tyyyłu tysiącach lat, że sam ich nie mogę zliiiczyc. I dlatego z podwójną przyjemnością odpowiem

na twoje pytanie, mimo że baaardzo potrzebowałbym nowego sługi.

— Ty — ty — ty znasz odpowiedź? — Benowi plątał się język

— Czyyy ja znam odpoowiedź? — Dżin znowu się roześmiał. Opadł na kolana i podsunął chłopcu swój kciuk. — Spójrz tuuutaj — sapnął. — Spójrz w moje dwieście dwudzieste trzecie oko. Co widzisz?

Ben schylił się nad kciukiem Asifa.

— Widzę rzekę — wyszeptał tak cicho, że Lung musiał nastawić uszu, by cokolwiek usłyszeć. — Płynie między zielonymi wzgórzami. Coraz dalej. Teraz wzgórza stają się coraz wyższe. Wszystko jest nagie i puste. Widzę góry, które mają bardzo dziwne kształty jak... jak... — Obraz się zmienił.

— Rzeka płynie obok domu — mamrotał. — To nie jest zwykły dom. To chyba pałac, albo coś takiego.

Dżin przytaknął.

— Przyjrzyj mu się dokłaadnie, bardzo dokładnie.

Ben wpatrywał się, aż obraz ponownie nie zniknął. Wtedy Asif podsunął mu palec wskazujący.

— To jest moje dwieście pięćdziesiąte piąte oko — powiedział. — Co w nim widzisz?

— Widzę dolinę — powiedział Ben. — Otacza ją dziewięć wysokich szczytów przykrytych śniegiem. Są prawie tej samej wysokości. Dolina jest pełna mgły.

— Doobrze. — Asif zamrugął. I znów obraz się rozmył — jak wszystkie pozostałe obrazy w dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu oczach — i ukazał się nowy.

Ben spojrzał podekscytowany.

— Tak, widzę! — Podniecony pochylił się nad ogromnym palcem Asifa. — Lung, tam jest smok. Zupełnie jak ty! W jaskini. W ogromnej jaskini!

Lung westchnął głęboko i pełen niepokoju zrobił krok do przodu, ale Asif znów mrugnął i obraz w jego dwieście pięćdziesiątym piątym oku, tak samo jak w pozostałych, zniknął. Rozczarowany Ben wyprostował się. Dżin cofnął rękę, położył ją sobie na potężnym kolanie, a drugą pogładził się po długiej brodzie.

— Zapamiętałeś sobie dokładnie, co widziałeś? — zapytał chłopca.

Ben przytaknął.

— Tak — wyjąkał. — Ale... ale...

— Uważaj! — Asif skrzyżował ramiona na piersi i surowo spojrział na chłopca. — Już zadałeś swoje pytanie. Piiilnuj teraz języka, bo jeszcze masz szansę zostać moim słuuuugą.

Zmieszany Ben schylił głowę. Dżin wyprostował się i lekko, niczym balon, unióśł się w powietrze.

— Kieruj się Indusem i wypatruj obrazów z moich oczu! — grzmiał Asif. — Szukaj ich. Odwiedź pałac na zboczu góry i rozbij światło księżycy o głowę kamiennego smoka. Wtedy dwadzieścia palców wskaże ci drogę do Skraju Nieba, a złoto będzie mniej warte niż srebro.

Oniemiały Ben spoglądał na potężnego dżina. Asif uśmiechnął się.

— Byyyłeś pierwszy! — zawołał jeszcze raz.

Następnie wydał się niczym żagiel na wietrze, a jego ręce i nogi zamieniły się z powrotem w niebieskie chmurki. Asif zaczął wirować, wciągając liście i kwiaty, aż stał się z powrotem słupem niebieskiego dymu. Po chwili powiew wiatru przegonił resztki dżina.

— Wypatruj obrazów — mruknął Ben i przymknął oczy.